

#11 MIC

muzyczny informator culturalny

REWIA, GETTO I HOLLYWOOD

czyli niełatwa historia przedwojennych twórców

OBYWATEL JAZZ

Krzysztof Komeda Trzeciński

HISTORIA WEDŁUG ŁONY

czyli sztuka patrzenia szerzej

CZARNY TESTAMENT

David Bowie – Blackstar





1 LIPCA

KONCERT

JAROMÍR NOHAVICA

AMFITEATR NCPP / OPOLE

START
21:00

BILETY
60 ZŁ, 80 ZŁ, 100 ZŁ

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL I WWW.KUPBILECIK.PL



www.ncpp.opole.pl

facebook.com/ncpp

twitter.com/ncpp_opole

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082

ZBIGNIEW WODECKI WITH MITCH & MITCH ORCHESTRA AND CHOIR



02.09.2016
AMFITEATR NCPP / OPOLE

START
20:00

BILETY
35 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
45 ZŁ W DNIU KONCERTU

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL I WWW.KUPBILECIK.PL



www.ncpp.opole.pl

facebook.com/ncpp

twitter.com/ncpp_opole

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082

MIC

muzyczny informator culturalny

4 POLOLSKA 2016

/ wstępniak

6 SHORTY

/ newsy, ciekawostki, informacje

8 HISTORIA WEDŁUG ŁONY

/ czyli sztuka patrzenia szerzej

12 CZARNY TESTAMENT

/ David Bowie „Blackstar”

14 GALERIA

/ zdjęcia z koncertów w NCPP

16 REWIA, GETTO I HOLLYWOOD

/ czyli historia przedwojennych twórców

20 OBYWATEL JAZZ

/ Krzysztof Komeda Trzciński

23 SZAFRAK GRAJĄCA

/ Kate Bush „Lake Tahoe”

25 ZALECA SIĘ

/ recenzje płyt

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej stronie

www.ncpp.opole.pl



PoLOLska 2016

CZYLI SZTUKA JEST FAJNA, ALE SZTUCZKA JESZCZE LEPSZA

tekst: Marek Szubryt

Cóż ja poradzę? Wychodzi na to, że choć nasz kraj nie jest jedynym, w którego nazwę można wpisać skrót LOL, to z pewnością jest jednym z tych, któremu pasuje to najbardziej. Co gorsza, tym samym szydercze, acz sympatyczne określenie „Meksyk Europy” uległo przedawnieniu.

Nie mam zamiaru wdawać się tu w trwający w najlepsze od wielu lat w różnych odsłonach spolaryzowany spór polityczny. Bynajmniej. W MIC-u piszemy przede wszystkim o muzyce, a w tym – jako że szykuje się święto polskiej piosenki, którego stolicą jest Opole – niemal wyłącznie o muzyce polskiej. I z tej perspektywy prosiłbym na ten żart zerkać, bo jeśli przyjrzeć się wydanym z początkiem roku płytom polskich artystów, można zauważyć, że – jak by to ująć – nastroje buzują. Od jakiegoś już czasu do znudzenia niemalże powtarzam, że w polskiej muzyce dawno nie działa się tak dużo dobrego. Wystarczy trochę pogrzebać, by się okazało, że poziom wydawanych płyt z każdego niemal gatunku może powodować na twarzy uśmiech i jeśli jakiś problem istnieje, to w trudnej do przebrnięcia ilości. Klęska urodzaju, można by powiedzieć. Jeśli jednak spojrzymy na tych, co bawią się nie tylko muzyką, lecz także słowem, łatwo da się zauważyć wspólny mianownik, który można określić słowami: niepokój, złość, strach czy wkurzenie (eufemizm zamierzony). Julia Marcell po raz pierwszy zmierzyła się z językiem

BENEFICJENCI SPLENDORU

SELFFIE



polskim, a obraz otaczającej czy wręcz toczącej ją rzeczywistości jest daleki od optymistycznego. Słowo stoi w kontrze do muzyki, która pulsuje jak nigdy dotąd. Choć Maria Peszek, na której czwartą płytę czekano z niecierpliwością, nie nagrała najlepszego albumu w swojej karierze, wydała płytę – jak zgrabnie ujęła to moja znajoma – z przyśpiewkami dla czarownic, z bardzo klarownym nawiązaniem do tego, co tu i teraz. No, ale to Maria Peszek, kto spodziewał się głąskania i braku kontrowersji? Ale to jeszcze nic, lampka zapaliła mi się po raz kolejny, kiedy ustami Katarzyny Nosowskiej w swoim singlu grupa HEY śpiewa: „Ja do centrum / Do centrum wieź / Gdzie ze słońcem / Miesza się deszcz / Derby kraju, derby co dzień / Gdzie czerń w tęczę, a tęcza w czerń”. Przykładów można by podać jeszcze kilka, ale zamiast tworzyć listę i odhaczać kolejne podobne, mniej lub bardziej udane przypadki, od razu przejdę do sedna, czyli do ostatniej płyty Beneficjentów Splendoru, dzięki

której dostaniecie wszystko to, o czym napomknąłem wcześniej, ale w dawce jak z koncentratu. „Sellfie” to płyta bardzo ostra, surowa i wściekła, ale to nic, bo najważniejsza jest jej celność. Dawno nikt tak trafnie, zjadliwie i zarazem trzeźwo nie pisał o otaczającej nas rzeczywistości. Jeśli miałbym do kogoś porównać teksty Marcina Staniszewskiego, wokalisty Beneficjentów, na myśl przychodzi mi tylko – przy zachowaniu wszelkich proporcji – Kazik Staszewski z okresu, gdy był w najwyższej formie, czyli z przełomu wieków. „Sellfie” zaczyna się samokrytyką w utworze „Autodiss”, ale później dostaje się już wszystkiemu i wszystkim i trudno go za to nie uwielbiać:

„Nie, nie dostaniesz mojego lajka dziecko / Co najwyżej możesz dostać po dupie / Wiem, teraz nie wolno bić już dzieci / Ale ja jestem gościem co wpierdala gluten / Żona mówi: ciągle tylko narzekasz i tych biednych ludzi krytykujesz za coś / Tak, bo jak tu być spokojnym gdy kolejny duet: ona chlipie a on rucha syntezator”.

Staniszewski wydaje się w pełni świadom swojego gniewu, który przeradza się w zgorzknienie, bo w refrenie singlowego „Dziada” wyśpiewuje:

„Jestem dziadem / będę strzykał jadem / na wszystkich głupich / co śnią puste sny / Jestem dziadem / mój pejcz / twój zadek / proste są reguły gry”.

Nie będę zdradzał wszystkiego, bo „Sellfie” po prostu trzeba postuchać, ale nie będzie przesadą stwierdzenie, że Beneficjenci Splendoru rozdają razy na prawo i lewo, przez co dostaje się naprawdę wszystkim: z branżą, hipsterami, kościołem i prezydentem włącznie. Pole rażenia Beneficjenci mają szerokie, ale, ku miłemu zaskoczeniu, płyta trzyma poziom od pierwszego do ostatniego utworu. Nie owijając w bawetnę ani nie próbując się nikomu przypodobać, przy akompaniamencie surowych i gryzących brzmień muzycy obrażają, oskarżają i wypominają, z rzadka tylko apelując i prosząc. Warto podkreślić, że nie ma tu mowy o bezpodstawnej złośliwości, zgryźliwości, krytykanctwie czy czepianiu się na siłę. „Sellfie” to obraz bardzo klarowny, przemyślany i – obawiam się – dość prawdziwy. Bez upiększeń i dopisanych na siłę znaczeń, które nadbudują historię do przeciętnego w gruncie rzeczy albumu. Oj, nie. Jest trochę jak w refrenie jednego z ostatnich utworów na płycie, pt. „Sztuczka”:

„Sztuka jest fajna, ale sztuczka jeszcze lepsza / Jak suka i suczka, jak woda i wódeczka / Grasz na instrumentcie, ale niewłaściwym / Zamiast sięgać głębiej, lepiej buduj mity”.

Beneficjenci Splendoru zdecydowanie wiedzą, na jakim instrumentcie grają, i nie tylko sięgają głęboko, ale i trafiają w punkt. LOL.

SHORTY

MURAL DLA DAVIDA

Z inicjatywy stowarzyszenia Stacja Muranów na warszawskim Żoliborzu powstał mural autorstwa Dawida Celka upamiętniający wizytę Davida Bowiego w Warszawie. Choć może wizyta to za duże słowo, gdyż jak legenda miejska głosi, w 1976 roku David Bowie spędził w stolicy 40 minut. Czekając na pociąg do Moskwy, wybrał się on na spacer po mieście, podczas którego zakupił płytę Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, z której to płyty wykorzystał wokalizy z utworu „Helokanie” w swym utworze „Warszawa”. Pomysłowi i realizacji pozostaje tylko przyklasnąć.

/ Rafał Czarniecki



DELIRKA Z KSIĘŻYCA

Les Claypool, twórca legendarnego Primusa i jeden z najoryginalniejszych basistów wszech czasów, którego grę rozpoznaje się „po pierwszej nutce”, oraz Sean Lennon, znakomity gitarzysta, o czym mało kto wspomina, oraz oczywiście syn Johna Lennona i Yoko Ono, połączyli siły. Nie będę ukrywał, że jestem ogromnym miłośnikiem Claypoola, a młodemu Lennonowi przyglądam się od czasu do czasu z zaciekawieniem, dlatego na ostateczny efekt Claypool Lennon Delirium czekam z niecierpliwością. Na razie możemy delektować się trzema piosenkami udostępnionymi w sieci, które w dużym uproszczeniu brzmią, jakby nieco delikatniejszego Primusa połączyć z psychodelicznym rockiem z przelomu lat 60. i 70. Uproszczeń w tak krótkiej nodce nie sposób uniknąć, a jako że bywają krzywdzące, polecam z twórczością tego nietypowego duetu zapoznać się osobiście. Płyta pt. „The Monolith of Phobos”, która swoją nazwę wzięła od skały znajdującej się na Księżycu, ukaże się 3 czerwca. Aż strach się bać.

/ Marek Szubryt

STONESI WCIĄŻ NA FALI

Według magazynu „Billboard” zespołem, który w ostatnim czasie zarobił najwięcej na koncertach, jest The Rolling Stones. Sprzedając 117 tysięcy biletów na dwa marcowe koncerty w Meksyku, zarobili 13,2 mln dolarów (mowa o przychodzie brutto z biletów, bez uwzględnienia kosztów organizacji koncertów). Zresztą zespół pod przywództwem Micka Jaggera okupuje 5 pierwszych miejsc tego zestawienia. Na szóstym miejscu znajduje się Guns’N’Roses, dzięki koncertowi w Las Vegas (6,2 mln dolarów), a na siódmym miejscu znajdziemy Davida Gilmoura i jego koncert z Nowego Jorku (3,9 mln dolarów). Gdzie tam młodzieniaszki, stara gwardia trzyma się mocno.

/ Rafał Czarnecki

BUFORUJ, SZATANIE!

Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad działaniem złych mocy w świecie? Już nie musicie! Diabeł został odnaleziony przez Petera Menscha, menedżera zespołu Metallica, a jego imię to... YouTube! Ów serwis to, według pana Petera, przyczyna rychłego upadku przemysłu muzycznego. Nie, nie słabe płyty i wtórność kompozycji. Jak mawia dziś młodzież: chyba hajs się nie zgadza..

/ Michał Mościcki

BYĆ ALBO BIEBER, OTO JEST PYTANIE!

Brytyjski „Guardian” donosi, że na zlecenie serwisu Deezer przeprowadzono badania, z których wynika, że wśród młodych Brytyjczyków (między 18. a 25. rokiem życia) znaczna część nie rozpoznała fragmentów dzieł Shakespeare’a, za to bezbłędnie potrafiła wskazać liryczną twórczość Justina Biebera. I tak oto „To be or not to be” przegrało sromotnie z „Girlfriend, girlfriend, you could be my girlfriend”. Pozostaje zatem zacytować klasyka Justina: „Is it too late now to say sorry?”.

/ Michał Mościcki



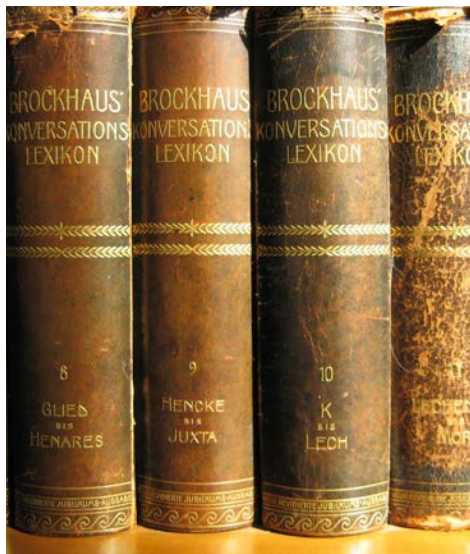


Podczas ostatniej Gali Fryderyków odbierający nagrodę w kategorii Hip-Hop w imieniu „swojego” artysty (Taco Hemingwaya) Marcin „Tytus” Grabski, założyciel wytwórni Asphalt, wyraził nadzieję, że docenianie rapu we wszelkiego rodzaju plebiscytach pomaga walczyć z „mordą” prymitywizmu i prostactwa, jaką nierzadko przykleja się środowisku hiphopowemu. Dla fanów tej kultury oczywiste jest, że jej twórcy to w dużej mierze ludzie o szerokich horyzontach, którzy niezwykle trafnie opisują rzeczywistość.

| SZTUKA PATRZENIA SZERZEJ, CZYLI HISTORIA WEDŁUG ŁONY

tekst: Michał Mościcki

Wszystkim, którzy mają co do tego wątpliwości, z pewnością może się okazać pomocne poznanie artysty ukrywającego się pod pseudonimem Łona. To prawdziwy mistrz słowa, Przybora Polskiego rapu. Porównania z twórcą Kabaretu Starszych Panów mogą wydawać się nieco na wyrost, nic bardziej mylnego! Podobnie jak pan Jeremi, Łona potrafi o sprawach niezwykle ważnych opowiadać w sposób lekki, nieco przewrotnie, ale zawsze „w punkt”. Podobnie jest w utworze „Leksykon Brockhause”, w którym raper przytacza 17-tomowe wydanie tytułowej encyklopedii, która od lat stała na półce w jego szczecińskim domu. Z pozoru błaża rzecz, co typowe w twórczości Łony, staje się przyczynkiem do opisu ludzkich losów wpłątanych w wir przemian czy to społecznych, czy historycznych. Dziadek artysty przyjechał do Szczecina z Poznania, aby objąć stanowisko kierownicze w miejskich wodociągach. Jak wspomina Łona: „Kiedy się tu wprowadzał, w domu niczego nie było. Niemcy, uciekając, zostawili wszystko, podobno książki otwarte były w miejscu, gdzie skończyli czytać. Ale szabrownicy oczyszczili domy nawet z okien i futryn...”. Raper w jednym ze swoich utworów zachęca, aby „patrzeć trochę szerzej” i podobnie rzecz się ma z owym „Brockhausem”, gdzie ważne jest zwrócenie uwagi na los jednostki wpłątanej w bieg wydarzeń, na które – *volens volens* – nie ma wpływu. To również opowieść o wykorzenieniu, które stało się udziałem wielu polskich, ale również niemieckich rodzin. Wszak Szczecin, wbrew mniemaniu wielu, przez stulecia był miastem pruskim. Już w 1181 roku miasto



weszło w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Dopiero w 1945 Stettin stał się Szczecinem. Gdy posłuchamy rady artysty i spojrzymy na „Leksykon...” nie jak na opasłe księgi, ale jak na „świat, którego nie ma, zamknięty w siedemnastu tomach”, to zrozumiemy, że śmiało możemy się posłużyć hiphopowym numerem do historycznej refleksji nad losami Europy, bliskiej tej Normana Daviesa: „Zagłada, jaką bolszewicy zgotowali w latach 1918–1921 własnej arystokracji, stała się także udziałem właścicieli ziemskich we wszystkich krajach, do których kolejno wkraczała Armia Czerwona – albo w latach 1939–1940, albo później



WIADOMOŚCI SZCZECIŃSKIE

BULETYN URZĘDU INFORMACJI I PROPAGANDY NA OKRĘG POMORZE ZACHODNIE

Nr. 1 Szczecin, poniedziałek, 9. lipca 1945 Rok I

POLACY!

Nasz wysiłek, nasza praca i trudy nie poszły na marne. W dniu 6. VII. br. nastąpiło objęcie miasta Szczecina przez Rzeczpospolitą Polskę

Szczecin jest polski!

Tym większy zapał, tym większy entuzjazm winien nam wszystkim odpał przywiecać w pracy nad utrwaleniem potęgi Rzeczypospolitej Polskiej na Jej zachodnich rubieżach.

Wszystkie nasze siły, nasze myśli i czyny winny być zespolone w tej historycznej chwili. Liczę na gotowości wszystkich do pracy nad zwiększeniem potęgi Rzeczypospolitej Polskiej.

Niech żyje Rzeczpospolita Polska i Polski Szczecin!
Niech żyje Rząd Jedności Narodowej!

(—) Inż. Piotr Zaremba
 Prezydent Miasta Szczecina

– w latach 1944–1945. Stare niemieckie rody [...] wtrącano w tę samą przepaść, która pochłonęła polskie rodziny z Litwy, Białorusi i Ukrainy [...]. Sowiecka czystka zniszczyła nie tylko klasę uprzywilejowaną, ale całe wielowiekowe kultury”. Myli się jednak ten, kto spodziewa się od artyści kategorię ocen, analiz i jednoznacznych odpowiedzi. W jednym z wywiadów Łona oznajmił, że wyżej ceni prawa człowieka od praw zbiorowości, co jednak może być kluczem do całej jego twórczości. Taka postawa z pewnością pozwala nawiązać komunikację, rozpocząć dialog. Zresztą ostatnie wersy „Leksykonu Brockhousa” mówią same za siebie: „gdy przyjdzie czas budować most, a przyjdzie – jestem pewien, ja dorzucam siedemnaście cegieł”. Pytanie, czy my jesteśmy w stanie dołożyć coś od siebie?

*) Łona będzie jedną z gwiazd koncertu „Hip-Hop Opole 2016”, który odbędzie się 28 maja na błoniach Politechniki Opolskiej.

PREZYDENT MIASTA OPOLE ORAZ NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI ZAPRASZAJĄ NA

**MIASTECZKO HIP-HOPOWE:
 FREESTYLE • GRAFFITI
 BREAKDANCE**

**PROWADZENIE:
 WALDEMAR KASTA
 + DJ SPISEK JEDNEGO**



HipHop

OPOLE • 2016

O.S.T.R. ★ MIUDOSH

SOBOTA ★ ŁONA / WEBBER + THE PIMPS

GRUBY MIELZKY

HADES ★ LAKSIK

OKOLICZNY ELEMENT

28 MAJA 2016
 OTWARCIE BRAM 16:00



WSTĘP WOLNY **BŁONIA POLITECHNIKI OPOLESKIEJ**

ORGANIZATORZY:  Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

WSPÓLORGANIZATORZY:  POLITECHNIKA OPOLESKA

PATRONATY MEDIALNE:  TVP3 OPOLSKA,  mto,  gazeta,  radio,  pSp,  iliter.pl,  cgm.pl,  BATO BATTLE

 facebook.com/hiphop
 twitter.com/hiphop_2016

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
 UL. PRĄSZKOWSKA 14A, OPOLE 45-002

PREZYDENT MIASTA OPOŁA ORAZ NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI ZAPRASZAJĄ NA



ROCK

OPOLE • 2016

ZAGRAJĄ:

**DAWID PODSIADŁO
COMA ★ LAO CHE
PIOTR ZIOŁA**

prowadzenie:
PIOTR STELMACH

29 MAJA 2016

OTWARCIE BRAM 18:30

WSTĘP WOLNY / BŁONIA POLITECHNIKI OPOLSKIEJ

ORGANIZATORZY:

WSPÓLORGANIZATOR:

PATRONATY MECEALNE:



www.rcpp.opole.pl [facebook.com/rcpp1](https://www.facebook.com/rcpp1) twitter.com/rcpp_opole
NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

ENIEJ



MESAJAH & RIDDIM BANDITS

29 LIPCA
AMFITEATR / OPOLE

START

20:00

BILETY

25 ZŁ PRZEDSPRZEDAŻ
35 ZŁ W DNIU KONCERTU

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL I WWW.KUPBILECIK.PL



NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082

A close-up, high-angle portrait of a man's face, focusing on his intense blue eyes. The lighting is dramatic, with a strong blue tint. A black horizontal band is superimposed across the middle of the image, containing the title text.

CZARNY TESTAMENT

tekst: Sławomir Kuźnicki

KIEDY 8 STYCZNIA UKAZAŁA SIĘ DWUDZIESTA PIĄTA STUDYJNA PŁYTA DAVIDA BOWIEGO, ZATYTUŁOWANA TAJEMNICZO

★ [BLACKSTAR],

CIĘŻKO BYŁO PRZEWIDZIEĆ, CO WYDARZY SIĘ DWA DNI PÓŹNIEJ.

10 stycznia 2016 r. w wieku 69 lat i 2 dni zmarł David Bowie, Artysta. Jest jakaś okrutna ironia związana z datą 8 stycznia. Przede wszystkim to tego dnia Bowie obchodził swoje urodziny. Dlatego dzień ten stał się wyjątkowo ważny dla wszystkich jego fanów, szczególnie po przejściu przez muzyka na częściową emeryturę muzyczną w okolicy roku 2005, czyli po nagraniu ostatniej (na długo), nie najlepszej płyty „Reality” (2003) i odbyciu ostatniej (na zawsze) trasy koncertowej ją promującej. To właśnie w dniu urodzin swojego idola, wykorzystując różnorakie media, fani co roku upamiętniali go w ten sposób. I Bowie w końcu dał się ubłagać: 8 stycznia 2013 r. zupełnie niespodziewanie wydał singiel „Where Are We Now?” zapowiadający płytę „The Next Day”. Nagrany po dziesięciu latach przerwy album okazał się sukcesem zarówno artystycznym, jak i komercyjnym. Jednak mógł pozostawić pewien niedosyt, gdyż był rodzajem podróży sentymentalnej artysty przez prawie wszystkie gatunki muzyczne uprawiane przez niego w trwającej 50 lat karierze. Innymi słowy, będąc kolekcją 14 dobrych i bardzo dobrych piosenek, „The Next Day” nie był dziełem wizjonerskim, a do takich Bowie nas przyzwyczaił. To oczywiście żaden zarzut, choć niektórzy (w tym i niżej podpisany) mogli nie być w pełni ukontentowani. Sytuacja ta zmieniła się wraz z publikacją albumu ★, zaskakującego suplementu do *comebacku* z 2013 r., a jednocześnie

albumu, którym Bowie żegna się ze swoją publicznością w najlepszym możliwym stylu, w najwyższej możliwej formie artystycznej, już bez żadnego „ale”. ★ jest płytą, która bezsprzecznie zadowala wszystkich tych, których nie do końca uszczęśliwił poprzedni album. Tym razem artysta, prawdopodobnie wyczuwając tykanie zegara, prezentuje nam swoją bezkompromisową i wyszukaną artystycznie twarz. Siedmioma zamieszczonymi na płycie utworami (ciężko nazywać je po prostu piosenkami), nawiązuje do swoich – moim zdaniem – najważniejszych i najbardziej przełomowych dzieł z przeszłości, takich jak zimne, krautrockowe „Low” i „Heroes” (obie 1977), brudne, alternatywne „Scary Monsters (And Super Creeps)” (1980) czy niepokojące, futurystyczne „Outside” (1995). Ponownie prezentuje muzykę nie dającą się zaszkladkować, wymagającą, ambitną, rozedrganą, mieniającą się tysiącem barw, a jednocześnie spójną. Wkracza na pozornie antagonistyczne terytoria rocka eksperymentalnego, awangardowo-bigbandowego jazzu (spora w tym zasługa saksofonisty Donny’ego McCaslina) i dark-ambientowej elektroniki, żeby wymienić te najwyraźniejsze. A wszystko to okrasza niebanalnymi, na zawsze zagnieżdżającymi się w pamięci melodiami. Ta płyta to wyzwanie, które – jeśli odważymy się je podjąć – po stokroć wynagradza nas za nasz trud. 9 stycznia

nie dało się nie radość. Jednakże już 11 stycznia ta radość musiała ulec redefinicji. Dopiero teraz wiadał wyrażnie, iż ★ jest łabędzim śpiewem Bowiego, jego ostatecznym pożegnaniem z fanami – tu już nie będzie kolejnego *comebacku*. Ślady tego, co nieuniknione, stają się wręcz jaskrawo wyraźne. Dotyczy to chociażby 10-minutowej epickiej kompozycji tytułowej, którą Bowie, wraz z wieloletnim producentem (i przyjacielem) Tonym Viscontim wytypował na pierwszy singiel z płyty. Oprócz mocnej deklaracji „I’m a Blackstar / I’m not a popstar” wielokrotnie pojawia się tu obraz „samotnej gromnicy” („solitary candle”), w wielu kulturach zwiastującej śmierć. W utworze „Lazarus”, jednym z najpiękniejszych nie tylko na tej płycie, ale w całym dorobku piosenkarza, Bowie wyśpiewuje prorocze wręcz słowa: „Look up here, I’m in heaven / I’ve got scars that can’t be seen”, a atmosfera końca podkreślona zostaje przez wyszukany i porażający teledysk („Lazarus” został drugim singlem z płyty). A jest jeszcze zamykająca płytę „I Can’t Give Everything Away”, w którego refrenie Bowie obsesyjnie wręcz wykrzykuje tytułową frazę. Gardło się zaciska i takim pozostaje. Tak, to prawda: śmierć Davida Bowiego niesie dojmujący smutek. Z drugiej strony – czy można sobie wyobrazić lepszy sposób na odejście niż wydanie takiego dzieła jak ★? Piękne ostatnie słowo.



HAPPYSAD

07/02/2016 fot. Patrycja Wanot



MARCELINA

20/02/2016 fot. Patrycja Wanot



DAWID PODSIADŁO

12/02/2016 fot. Patrycja Wanot





HUNTER

02/04/2016 fot. Roman Rogalski



MARIA PESZEK

12/03/2016 fot. Roman Rogalski



SMOLIK / KEV FOX

09/04/2016 fot. Roman Rogalski





REWIA GETTO I HOLLYWOOD

czyli niełatwa historia
przedwojennych twórców

tekst: Michał Mościcki

Z całą stanowczością można stwierdzić, że dwudziestolecie międzywojenne, a tym samym wszystko, co z nim związane, ponownie wkrađło się do popkultury i zadomowiło na dobre. Modę na wszystko, co „retro”, z pewnością pomogła rozpropagować serialowa produkcja TVP pt. „Bodo”, która przybliżyła życie jednego z największych artystów swoich czasów, prawdziwego amanta, gwiazdę estrady i kina. Bogdan Eugène Junod, bo tak naprawdę się nazywał, tym samym pojawił się w wielu domach, a wraz z nim fragment świata, który istniał przed wojną, a odszedł wraz z jej wybuchem. Abstrahując od artystycznych walorów owego serialu, jego rola w przywracaniu wspomnień i klimatu dni minionych zdaje się nie podlegać dyskusji. Bodo artystą był nieprzeciętnym, ale jak to zazwyczaj bywa, za jego sukcesami stali nie mniej zdolni twórcy – kompozytorzy i autorzy tekstów. Rzecz jasna oni zazwyczaj są w cieniu solisty, taka już natura tego fachu. Zachwycając się urokiem świata kabaretów, rewii i filmowych przebojów, warto jednak wspomnieć wizjonerów,

którzy owe formy doprowadzili do perfekcji i dzięki nim możemy nucić „Umówiłem się z nią na dziewiątą” czy „Tango milonga”. Najważniejsi z zapomnianych to tekściarz i satyryk Andrzej Włast oraz kompozytor i autor piosenek Henryk Wars. Andrzej Włast, a w rzeczywistości Gustaw Baumritter, świat rewii i kabaretów odkrył w Łodzi dzięki starszemu koledze Julianowi Tuwimowi, z którym przyszło mu po latach pracować w kabarecie Qui Pro Quo. Z Tuwimem zresztą nieustannie go zestawiano jako tego, który postawił na ilość, a nie jakość. W istocie Włast napisał blisko dwa tysiące tekstów



do przedwojennych piosenek, co dziś brzmi nieprawdopodobnie. Pamiętać jednak należy, że zaczynał wcześniej, w 1914 roku. Kiedy skończył 19 lat, miał już za sobą kabaretowy debiut w warszawskim Teatrze Udziałowym. Rozwijającą się karierę przerywa jednak wojna, ale los (póki co) okazuje się dla niego łaskawy – nie walczy, zostaje przydzielony do wydziału propagandy w sztabie generalnym. Po wojnie nic już nie mogło przeszkodzić w karierze zdolnego satyryka. Pisze piosenki dla Hanki Ordonówny, zaczyna pracę z kompozytorem Jerzym Petersburskim. Powstają ich

wspólne przeboje: „Ja się boję sama spać” czy nucone wówczas w każdej knajpie, na rogu każdej niemal ulicy „Tango andrusowskie”. Nawet samo słowo „przebój” należy kojarzyć z Andrzejem Włastem, gdyż to on zainicjował konkurs na odpowiednik popularnego wtedy słowa „szlagier” i „przebój” zwyciężył. W 1927 roku zbiegają się drogi Własta i Warsa. Razem będą pracować w stworzonym przez siebie teatrze rewiowym noszącym nazwę Morskie Oko. Nikt nie nadał za światowymi trendami lepiej niż ten duet. Było w ich teatrze wszystko: od amerykańskich tańców wywodzących się z jazzu aż do przepychu na miarę Moulin Rouge. Kryzys roku 1933 położył jednak kres ich wspólnej działalności. Włast jednak się nie poddał i do 1939 roku prowadził music-hall Wielka Rewia. Wojna przerwała pełne kolorów życie najpopularniejszego przedwojennego tekściarza. Jak wielu jego przyjaciół trafił do warszawskiego getta, skąd próbowano go wydestakować. To tam napisał jedną z najsmutniejszych polskich piosenek, a swoją ostatnią: „Warszawo ma”, do znanej melodii



żydowskiej „Di sztetete Belz”. Dokładna data jego śmierci nie jest znana. Niektóre źródła podają, że zginął tuż za bramą getta, z którego udało się go wyciągnąć jego przyjaciółom. Pisarz spanikował na widok gestapowca i został zastrzelony podczas ucieczki. Choć określano Andrzeja Włosta mianem „króla szmiry”, to dziś należałoby o nim mówić jako o pionierze muzyki popularnej. Nikt tak jak on nie potrafił korzystać z melodramatycznych klisz, szmoncesu (dowcipu opartego na humorze żydowskim) i języka codziennego, co sprawiało, że jego teksty śpiewali wszyscy: od salonów po ulicę. Krytyką zresztą się nie przejmował, o czym świadczą jego słowa: „Dancing, salon, ulica to wymarzeni, bo jedyni adresaci piosenki. Jeśli oni ją śpiewają, to znaczy że trafiła w każdy gust”. Historia życia Henryka Warsa, który podobnie jak Włost był w pełni zasymilowanym Żydem, z pewnością ma bardziej optymistyczne zakończenie, choć obfitowała w niezwykle barwne, ale i niebezpieczne wydarzenia. Podobnie jak jego partner z orskiego



Oka, brał udział w I wojnie światowej, z tą różnicą, że do wojska zgłosił się sam, wiedziony wpajaniem w domu rodzinnym głębokim patriotyzmem. Doświadczenia wojenne sprawiły, że porzucił studia rozpoczęte na wydziale malarstwa warszawskiej ASP i postanowił związać swe życie z muzyką, na którą zdawał się być skazany – jego starsza siostra była solistką mediolańskiej La Scali, młodsza – pianistką. Emil Młynarski namówił go, aby zapisał się do konserwatorium, a lekcji kompozycji udzielał mu sam Karol Szymanowski. Poza muzyką klasyczną w życiu

Warsa pojawiła się miłość do jazzu i swingu. Ta zaś zaprowadziła go wprost do filmu, który coraz mocniej zdobywał serca publiczności. Zadebiutował muzyką do obrazów Henryka Szaro. Aranżował również rewie, w tym najstynniejszą „Rewię Hollywood”, w której polskie sławy wystąpiły m.in. u boku Bustera Keatona. Łatwość, z jaką Włast pisał słowa piosenek, towarzyszyła również Warszowi przy komponowaniu. Do momentu wybuchu wojny skomponował muzykę do niemal 50 filmów. Lekkość i melodyjność jego utworów przekładała się na popularność piosenek. Klasykami są dzisiaj „Umówiłem się z nią na dziewięć”, „Sex appeal” czy „Tylko we Lwowie”. Za tymi hitami stoi właśnie Wars. Jak można przypuszczać, widmo wojny zawisło również nad kompozytorem, ale miał on zdecydowanie więcej szczęścia niż Włast. Z transportu do getta udało mu się uciec, następnie trafił do Lwowa, gdzie spotkał wielu artystów warszawskich scen, m.in. wspomnianego Bodo. Tu ponownie dopisało mu szczęście. Z racji tego, że był twórcą muzyki do radzieckich filmów, nie zesłano

go w głąb Związku Radzieckiego, a dzięki talentowi trafił do Armii Andersa, z którą przeszedł cały bojowy szlak, tworząc z Jerzym Petersburskim i Henrykiem Goldem orkiestrę wojskową Polish Parade. Po wojnie, w 1947 roku, wyemigrował do USA. I gdy po długim czasie niepowodzeń wydawało się, że nic w jego kompozytorskim życiu się już nie wydarzy, nastąpił nieoczekiwany przełom. Listy polecające od Artura Rubinsteina odniosły skutek i Wars, a teraz już Henry Vars, dostał angaż w wytwórni Johna Wayne’a. Zaczął od kilku odcinków „Bonazy”, a skończył na kilkudziesięciu



pełnometrażowych produkcjach dla największych wytwórni: Universal, Columbia i Warner Bros. „Seven Men From Now”, „Flipper” czy „Big Heat” to tylko kilka z nich. Jego piosenki śpiewali Bing Crosby, Doris Day i Brenda Lee. Życie Henry Varsa, czyli droga od warszawskich kabaretów do wzgórz Los Angeles, to materiał na produkcję iście hollywoodzką. Życiorysy Andrzeja Własta i Henryka Warsa mówią o losach Polaków, polskich Żydów i międzywojennych artystów więcej niż niejeden serial, film czy piosenka. Czy o pamięć o nich ktoś się upomni, jak upomniano się o Eugeniusza

Bodo? Zespół Makabunda, Warszawskie Combo Taneczne czy Stanisława Celińska próbują, wszak wykonywane przez nich pieśni to twórczość obu panów, ale czy odbiorcy mają tego świadomość? Często słychać w branży filmowej utyskiwania na słabość scenopisarstwa w naszym kraju. A przecież wybitnych scenariuszy nie musimy szukać w Hollywood, wystarczy głębiej sięgnąć choćby do historii polskich artystów, rzecz jasna nie tylko międzywojnia. Choć sam Andrzej Włast na ten patos zapewne zareagowałby śmiechem, wszak „pisać o mej księżce żaden skryb nie musi / Lepiej, gdy nikt o niej nie napisze z was / Milsze jest mi zdanie Zosi lub Maniusi / Niż fachowe wasze obnażanie skaz”.

***) Warszawskie Combo Taneczne zagra na opolskim Rynku w ramach Letniej Sceny NCPP 23.07.2016 r.**



OBYWATEL

JAZZ

KRZYSZTOF
KOMEDA
TRZCIŃSKI

tekst: Marek Szubryt

W słynnym sekście założonym przez niego w 56 roku właściwie, gdyby się zastanowić, to poza nim i Jurkiem Milianem nikt nie umiał grać. A jednak potrafili wspólnie, pod przewodnictwem Krzysztofa, zrobić muzykę, która zachwyciła zarówno nas, jak i publiczność – wspominał pierwszy występ sextetu Komedy Andrzej Trzaskowski, inna znakomitość i pionier polskiego jazzu. Choć nie był pierwszy, to właśnie Komeda wprowadził Polskę do czołówki światowego jazzu. Dokonał, wydawałoby się, niemożliwego i to w warunkach, delikatnie rzecz ujmując, niesprzyjających dla rozwoju jazzu. Ale po kolei.

Krzysz, który został lekarzem

Krzysztof Trzciński na świat przyszedł w Poznaniu w 1931 roku. Dość szybko się okazało, że mały Krzysz przejawia ogromny talent muzyczny. Dzięki rodzicom, dla których muzyka była czymś niezwykle ważnym, odkryto wyjątkowy talent dziecka, dzięki czemu jako siedmiolatek rozpoczął naukę w szkole muzycznej, by prędko przeskoczyć kilka poziomów. Dość szybko zaczęto myśleć o nim jak o przyszłym wirtuozie fortepianu, jednak wojna przekreśliła te plany, a rzeczywistość zmusiła do wybrania innego, „praktycznego” zawodu.

– Pan nie ma studiów muzycznych?

– Gry na fortepianie uczyłem się już w dzieciństwie i w swoich pierwszych marzeniach widziałem się w roli sławnego wirtuoza. To nie były mrzonki; w roku 1938, mając osiem lat, zostałem przyjęty do poznańskiego konserwatorium. Wojna przekreśliła te plany. Co prawda przez całą okupację i później, do roku 1950, nie zrywałem z muzyką, nadal uczyłem się gry i teorii, jednak stało się jasne, że straconych sześciu lat nie da się odrobić. Gdy zdałem maturę, stanąłem przed koniecznością wyboru innego zawodu. Chciałem mieć zawód ciekawy, pasjonujący. Interesowała mnie medycyna, więc zostałem lekarzem – mówił w wywiadzie udzielonym Jerzemu Radlińskiemu, znajdującym się w kultowej książce „Obywatel Jazz”. Krzysztof Trzciński, mimo że w liceum oceny miał raczej przeciętne, był jednym z najlepszych studentów. Szybko jednak stało się jasne, że wyboru do bólu praktycznego z miłością nie uda mu się połączyć.

Krzysztof, który został pianistą

To właśnie w trakcie studiów Krzysztof Trzciński zaczął używać przydomku Komeda. Wymagała tego sytuacja polityczna, nastawienie ówczesnej władzy i części społeczeństwa do jazzu. Nie dla wszystkich było do zaakceptowania, aby pracujący w szpitalu młody laryngolog, którego wyedukowała socjalistyczna ojczyzna, a przed którym rysowała się również wizja pracy naukowej, uprawiał „imperialną” muzykę.



Krzysztof i Zofia Komedowie w mieszkaniu w Krakowie

W swojej książce o artyście Marek Hendrykowski przytacza historię z czasów okupacji, kiedy to w trakcie zabawy z rówieśnikami mały Krzysz, oznaczając „bazę”, zamiast komeda miał napisać komeda, co szybko stało się powodem żartów i miało błyskawicznie stać się przezwiskiem. Ale sam muzyk we wspomnianym wcześniej wywiadzie dyplomatycznie wspomina jedynie chęć ukrycia „niemile widzianej działalności”.

– Podobno przydomek „Komeda” przyjął Pan ze wstydu przed kolegami – dopytywał Radliński.

– Zaczęłem go używać w trakcie pracy w klinice. Przedemną pracowała tam dr Elżbieta Zakrzewska, świetna śpiewaczka Operetki – wówczas poznańskiej, dzisiaj warszawskiej. Nikt nie miał jej za złe, że wieczorami zamienia klinikę na estradę. Ze mną było inaczej. W tamtych latach jazz w Polsce zdobywał sobie dopiero prawo obywatelstwa, miał opinię muzyki podrzędnej, taniej, knajpiarskiej. Bardzo mi zależało wtedy na autorytecie lekarza... – tłumaczył. Młody lekarz próbował łączyć pracę z grą, jednak szybko stało się jasne, że marząc o wielkiej karierze, nie może uprawiać dwóch zawodów naraz. Rezygnując z medycyny, musiał opuścić Poznań, w którym nie było środowiska



jazzowego i szans zarobkowania grą. Jak wspominał: „Przeniosłem się do Krakowa i przez dwa lata uczciwie biedowałem”.

Krzysztof, który został Komeda

Sukces Komedy nie byłby możliwy, gdyby nie działalność starszych kolegów, którzy przetarli szlak. Oprócz m.in. „Gucia” Dyląga czy Andrzeja Kurylewicza jednym z nich był wspomniany w wstępie Andrzej Trzaskowski, który oprócz tego, że był znakomitym muzykiem, to jeszcze świetnie posługiwał się angielskim, dzięki czemu podczas koncertów zagranicznych był ulubieńcem prasy. Potrafił zrobić wokół siebie oraz zespołu Melomani i Jazz Belivers dużo dobrze rozumianego szumu oraz roztoczyć opiekę nad młodszymi kolegami, którzy obcymi językami nie władali jeszcze za dobrze. Jednak choć Komeda nie był pierwszy, to właśnie on wprowadził Polskę do czołówki światowego jazzu. Dokonał, wydawałoby się, niemożliwego i to w warunkach, delikatnie rzecz

ujmując, niesprzyjających dla rozwoju jazzu. Krzysztof Komeda Trzcziński, gdyby żył, pod koniec kwietnia skończyłby 85 lat, niestety niefortunny wypadek w trakcie wspólnego nocnego spaceru z Markiem Hłaską wzgórzami Beverly Hills podczas pobytu kompozytora w Kalifornii spowodował obrażenia, w wyniku których kilka miesięcy później Komeda zmarł w wieku zaledwie 38 lat. Był u szczytu kariery, uznawany za jednego z czołowych i najoryginalniejszych muzyków w Europie, a jego ścieżka dźwiękowa do „Dziecka Rosemary” Romana Polańskiego, przyniosła mu światowy sukces, w tym nominację do prestiżowych nagród: Złotego Globu i Grammy, dzięki czemu Komeda podpisał intratny kontrakt z wytwórnią Paramount. Jak to się stało, że – jak zwykło się o nim mawiać – niewysoki, lekko kulejący rudzielec, lekarz laryngolog, w zaledwie kilka lat trafił z socjalistycznej Polski do najważniejszych europejskich sal koncertowych, by na stałe wejść do czołówki światowego jazzu i muzyki filmowej?

– Panie Krzysztofie, Pan chyba może się uważać za najszcześliwszego jazzmana w Polsce – pytał na trzy lata przed wyjazdem do USA Radliński.

– ?

– Od lat, niemal od początku swego muzykowania, zajmuje Pan – i to zastużenie – wyjątkową pozycję w polskim ruchu jazzowym: czołowego pianisty i śmiałego nowatora, cenionego lidera, aranżera, kompozytora. Ma Pan sławę i światną prasę: sam Joachim Berendt nazwał Pana „jednym z najoryginalniejszych kompozytorów dzisiejszego świata jazzu”. W dodatku jest Pan ulubieńcem publiczności, którego pierś, jako jednego z nielicznych, zdobi najwyższe krajowe odznaczenie jazzowe – „Złoty Helikon”. Trzeba więcej szczęścia? – Może... Najczęściej jestem niezadowolony z tego, co zrobiłem. Stale myślę o czymś nowym, innym. A poza tym – sukces w jazzie jest rzeczą, którą trzeba zdobywać nieustannie: żadna muzyka nie robi tak kolosalnego postępu i nie strąca tak szybko swych bogów z piedestału jak jazz.

Astigmatic

Wraz z rakiem 2016 Polskie Nagrania zapowiedziały reedycję odświeżonych czy, jak się to teraz mówi, zremasterowanych 76 albumów z serii „Polish Jazz”. Oprócz Andrzeja Kurylewicza, Ewy Bem, grupy Extra Ball, NOVI czy Tomasza Stańki kupić można jeden z odważniejszych albumów kwintetu Komedy pt. „Astigmatic”. Nagrany w składzie: Krzysztof Komeda – fortepian, Rune Carlsson – perkusja, Günter Lenz – bas, kontrabas, Zbigniew Namysłowski – saksofon altowy, Tomasz Stańko – skrzydłówka – album, mimo 40 lat, ani trochę nie stracił na świeżości i sile.

– Krzysz zawsze z wielką uwagą przyglądał się swoim gadającym rękom: pewnie sam był ciekaw, czego się tam w mięszu muzyki doszukują – mówiła w „Galerii potworów” Agnieszka Osiecka. Polska laryngologia bez dr. Trzczińskiego sobie jakoś poradziła, ale trudno wyobrazić sobie polski jazz i muzykę filmową bez Krzysztofa Komedy.

SZAFA GRAJĄCA

tekst: Sławomir Kuźnicki & Bartosz Suwiński

Część 9:

Kate Bush

Lake Tahoe [Jezioro Wiatr]

Kate Bush jest artystką-tułaczką. Niesie ją od miejsca do miejsca, od czasu do czasu. Nigdy nie jest tylko tu i teraz; zawsze gdzieś tam i jeszcze dalej. Tym samym jej piosenki są punktami na mapie nieustającej podróży w nieznanne, w siebie. Na każdym takim punkcie – niezależnie od tego, czy jest on czymś rzeczywistym czy też absolutnie widmowym – wokalistka odciska swój wyraźny, oryginalny ślad; żadne takie czaso-miejsce nie jest już tym, czym było wcześniej. Tak też sprawa ma się z Tahoe: jeziorem położonym w amerykańskich górach Sierra Nevada. Bush „odwiedziła” to miejsce na swojej ostatniej jak dotąd, porażająco wręcz pięknej płycie *50 Words for Snow* (2011). My – niejako idąc za przykładem naszej bohaterki – pozwalamy sobie na swoistą podróż w czasoprzestrzeni: przenosimy to jezioro w zupełnie inne miejsce, w zupełnie inny czas.

Lake Tahoe.

Cold mountain water. Don't ever swim there.

Just stand on the edge and look in there.

And you might see a woman down there.

They say some days, up she comes, up she rises, as if
out of nowhere.

Wearing Victorian dress.

She was calling her pet, "Snowflake! Snowflake!"

Tumbling like a cloud that has drowned in the lake.

Just like a poor, porcelain doll.

Her eyes are open but no-one's home.

The clock has stopped.

So long she's gone. No-one's home.

Her old dog is sleeping.

His legs are frail now.

But when he dreams, he runs.

Along long beaches and sticky fields.

Through the Spooky Wood looking for her.

The beds are made. The table is laid.

The door is open – someone is calling: It's a woman.

"Here boy, here boy! You've come home!

I've got an old bone and a biscuit and so much love.

Miss me? Did you miss me?

Here's the kitchen. There's your basket.

Here's the hall. That's where you wait for me.

Here's the bedroom. You're not allowed in there.

Here's my lap. That's where you lay your head.

Here boy, oh you're a good boy.

You've come home. You've come home".

jezioro kobieta coś

szum w głowie szum w ustach

idzie moim brzegiem

rozdwojone końcówki włosów
na wietrze

dom na wyciągnięcie ręki

coraz dalej

kuchnia przedpokój sypialnia

ręka gładzi legowisko gładzi toń

stare psisko śni sen o starym
psisku

sen wpetza jednym uchem i
zastyga

nawadnia umysł jak chmura
gąbkę

ślótlista ziemia oblepia but

tu się nie pływa tu woda mrozi
duszę

tylko się stoi na brzegu patrzy
nasłuchuje

kobieta idzie przez wiatr

nawołuje w nieznanne

zanurzony palec tonie w swoim
odbiciu

on nie słyszy jego nie ma w
domu

w domu mieszka nikt

Jeziorak

Widzimy ją nad jeziorem, którego wody cicho okalają brzeg, a wiry rozchodzą się po horyzont. Cisza brzegu rymuje się z ciszą ustronia, tafla stoi nieruchomo, odbijając chmury na całej powierzchni. Wiatr błąka się po okolicy, trącając opuszczone strychy. Wilgotna ziemia składa się do kroków czyjś błądzenia. Pies pałęta się przy wodzie, czujny, stale wypatrując swojej pani. Powietrze jest przestronne, przestrzeń opustoszała. Dom stoi w odosobnieniu, na stałe wrośnięty w pejzaż niczym drzewo albo jakaś stara, pogruchotana rzecz. Jest chłodno i wilgotno, ślady łap odbijają się w błocie, a potem schną i zastygają w formy. Kobieta gotowa jest na bieg zdarzeń, jego chaotyczny pęd. Szmer gałęzi, świst ptaka i ciche sapanie starego psa tworzą refren codziennej muzyki. Chmura wisi nad domem, ma kształt gąbki. Legowisko jest suche i kruche, patyki łamią się z każdym mocniejszym ruchem. Sen przychodzi z wolna i bez pośpiechu, obleka wszystko warstwą nieistnienia. Kobieta jest sercem tego obrazu. Oprócz

niej nie ma żadnych widoków na przyszłość. Tylko ona może nie odpychać od siebie ostatnich, nieśmiałył złudzeń. Nikt i nic nie poradzi na jej ciągły stan wychłodzenia. Systematycznie staje się coraz bardziej pozbawiona słów i nadziei. Nęci ją drugi brzeg. „Niczym z nadmorskiej mgły – czytamy za Graeme Thompson – wyłaniają się muśnięcia czystego piękna: napięta linia smyczków, dyskretne smużki instrumentów dętych, strzępek mgliście orientalnej melodii, posępne, złowróźbne grzechotki”. W tle słycać krakanie gawronów. Tutaj jest tylko puste miejsce, w którym dopiero pojawi się dźwięk. Cisza. I kilka nut, które popłyną ślepo przed siebie jak strużki krwi gnane aortami wyżej i wyżej, aż wyleją się z ust jak z otwartej rany. Trzeba rozglądać się po sobie i po każdym kroku. Śnieg przyprószył ostatni ślad, jaki zostawiła po sobie. Omsknęła się w wyrwę w lodzie, przepadła w lodowej otchłani. Patrzymy na świat pięćdziesięcioma słowami: chłód mgły to oddech bałwana, który ma usta pełne martwych liści. Widzimy jezioro, w którym przegląda się zapętłona w odmętach czasu twarz. Ta kobieta miałaby ochotę stopnieć z zimowym śniegiem i z poręczy niechadzanego mostu spłynąć do

rzeki, z nią do morza, i rozlać się w odpływie echem zapadającego szmeru, fala po fali, albo daleko za horyzont, bądź tu, krok przed spienioną grzywą, wsiąknąć w piach. Przyptyw, odpływ. I tak bez końca.



MODERAT „III”

Gdy nazywasz swoją płytę kolejną liczbą, logika wskazywałaby na to, że album będzie kontynuacją dwóch poprzednich. Takie nadzieje zapewne mieli fani berlińskiego kolektywu. Ich oczekiwania zostały spełnione jedynie w części. Nie sposób odmówić panom rozpoznawalnego, wyrazistego stylu, a to naprawdę spore osiągnięcie. Brak jednak na „trójce” spójności, jakby trio pracowało odrębnie, a potem próbowało skleić wszystko w całość. Co prawda nie brakuje mocnych akcentów, jak choćby singlowy „Reminder”, ale sporo tu również kompozycji mniej intensywnych, bardziej w stylistyce Apparata, ze sporą dawką przestrzeni i ambientu. Oczywiście to album na bardzo wysokim poziomie, co w czasach, kiedy „gwiazdy” szybko bledną, staje się sporym wyczynem. Nieustannie: zaleca się!

Michał Mościcki



DEFTONES „GORE”

„Around the fur” miałem na kasecie, „White Pony” na CD, „Koi No Yokan” w mp3, a „GORE” na streamingu. Technologia idzie do przodu, a Deftones ciągle porusza się w tym samym obszarze: szerokich przestrzeni przeszywanych potężnym czadem, nad którymi góruje charyzmatyczny i melancholijny zarazem głos Chino Moreno. Naturalnie pojawiają się niuanse, które fani usłyszą w mig: chociażby brzmienie basu czy gitarowa solówka w „Phantom Bride”, którą zagrał sam Jerry Cantrell z Alice in Chains. Słychać też, że Chino nie próżnował, mam tu na myśli niedocenioną płytę pod szyldem PALMS czy też elektroniczny projekt Crosses, czego echa słychać w refrenach „Heart/Wires”, czy singlowego „Prayers/Triangles”. Z perspektywy czasu „GORE” nie jest dziełem tak przełomowym jak w swoim czasie „Around the fur”, niemniej jednak konsekwencja, z jaką Deftones podąża swoją drogą, jest godna podziwu.

Stanisław Bitka



PRIMAL SCREAM „CHAOSMOSIS”

Szkoci z Primal Scream na muzycznej scenie istnieją już ponad 30 lat, a wydana w marcu tego roku „Chaosmosis” to jedenasty album w ich dyskografii. Posiadając tak dorodną dyskografię, trudno nie czuć ciężaru lub nie popaść w marazm, tym bardziej że na swoim koncie grupa posiada także – jak np. „Screamadelica” – płyty kultowe. Tym bardziej cieszy „Chaosmosis”, którym panowie znów zaskoczyli, bo chyba nigdy w swej karierze nie nagrali tak przebojowej płyty. Jeszcze pierwszy utwór, w którym słyszymy siostry z Haim, może przywoływać Primal Scream, jaki znamy z przeszłości. Ale już „Where the Light In” (w którym udziela się Sky Ferreira) to już czysty disco-pop. Zresztą to dość eklektyczna płyta. Bo znajdziemy tu i rave’owe „When the Blackout Meets the Fallout”, folkową balladę „Private Wars” czy nawet wpływy New Order.

Rafał Czarnecki

KONCERT

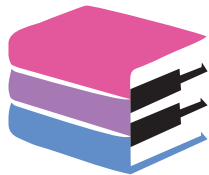
FISZ EMADE TWORZYWO JULIA MARCELL



18 CZERWCA

FESTIWALOWA SCENA PLENEROWA
(TEREN WOJEWÓDZKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ)

festiwal
KSIĄŻKI



OPOLE 17-18.06.2016

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Prowadzenie, opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka: ilustracja - Kamil Pieśniewski

Opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński, Stanisław Bitka

Korekta: Krzysztof Szymczyk

Nakład: 3000 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

© Copyright by MIC

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskie
Piosenki

MIC
muzyczny informator culturalny



www.ncpp.opole.pl



facebook.com/ncpppl



twitter.com/ncpp_opole

Siesta na tarasie

MASALA
SOUNDSYSTEM 02.07

NOVIKA & MR. LEX 09.07

RYSY 06.08

HATTI VATTI 03.09

WSTĘP WOLNY / TARAS AMFITATRU NCPP

- 05.08 Letnia Scena NCPP: Jarecki
- 06.08 Siesta Na Tarasie: RYSY
- 12.08 Letnia Scena NCPP: Cuba de Zoo
- 19.08 Kino Pod Gwiazdami
- 20.08 Letnia Scena NCPP: Dubska
- 21.08 Bajkowe Wakacje
- 27.08 Letnia Scena NCPP: Rebeka
- 02.09 Zbigniew Wodecki with Mitch & Mitch Orchestra and Choir
- 03.09 Siesta Na Tarasie: Hatti Vatti
- 18.09 Polska Noc Kabaretowa
- 23.09 Skawiński & Tkaczyk – 40 lat Kombii

Opolska Strefa Kibica - transmisje meczów
Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej

Joga na tarasie - Każda sobota lipca i sierpnia

Medytacje na tarasie www.gmc.center

BILETY / REZERWACJE

 **501 958 255**



www.ncpp.opole.pl



facebook.com/ncpppl



twitter.com/ncpp_opole

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL
NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI, UL. PIASTOWSKA 14A, OPOLE 45-082

LATO 2016

KONCERTY * IMPREZY * KINO

- 3-6.06 53. Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej
- 17.06 Polska Noc Kabaretowa
- 18.06 Festiwal Książki Opole 2016:
Fisz Emade Tworzywo, Julia Marcell
- 01.07 Jaromír Nohavica
- 02.07 Siesta Na Tarasie: Masala Soundsystem
- 08.07 Letnia Scena NCPP: Lilly Hates Roses
- 09.07 Siesta Na Tarasie: Novika & Mr. Lex
- 15.07 Kino Pod Gwiazdami
- 16.07 Letnia Scena NCPP: Kraków Street Band
- 17.07 III Letni Festiwal Operowy: Carmen
- 23.07 Letnia Scena NCPP: Warszawskie Combo Taneczne
- 24.07 Bajkowe Wakacje
- 29.07 Enej, Mesajah & Riddim Bandits
- 30.07 Letnia Scena NCPP: Carrantuohill

LETNIA SCENA NCPP

08.07 **LILLY HATES ROSES**

16.07 **KRAKÓW STREET BAND**

23.07 **WARSZAWSKIE COMBO TANECZNE**

30.07 **CARRANTUOHILL**

05.08 **JARECKI**

12.08 **CUBA DE ZOO**

20.08 **DUBSKA**

27.08 **REBEKA**

MIEJSCE:
OPOLSKI RYNEK
GODZ. 20:00
WSTĘP WOLNY



Sopelek[®]
smaczne lody od lat

lody własnej
produkcji

www.sopelek.com.pl